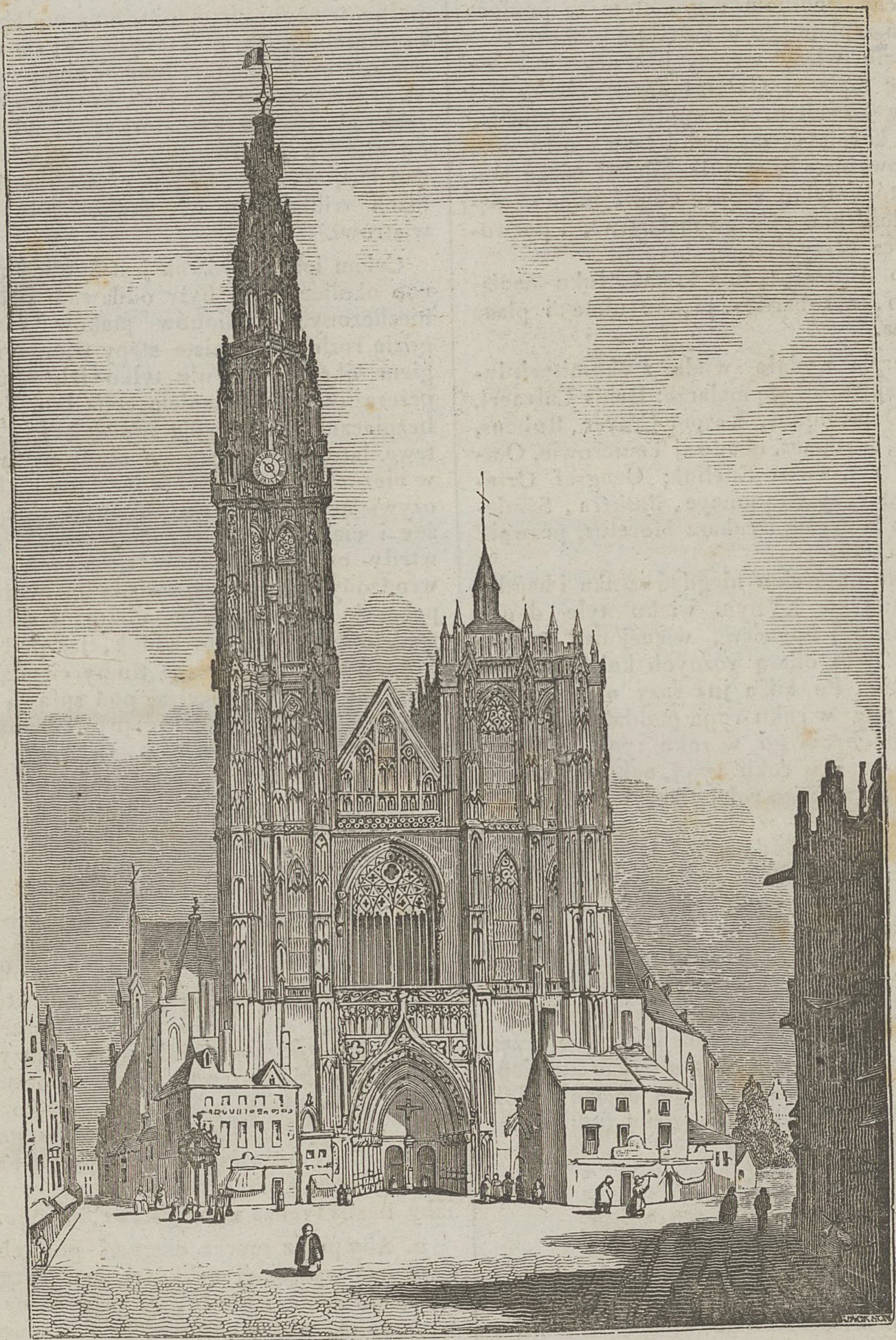
ANTWERPIA.



(Katedra w Antwerpii.)

Ten kościół w Antwerpii wybudowany w połowie XIIIgo wieku, później na katedrę poświęcony, jest arcydziełem budowy gotyckiéj: ma 500 stóp długości, 230 szerokości, a 360 wysokości. 125 kolumn podpiera 230 sklepionych arkad, a z każdéj strony jest nawa podwójna

Wieża *Notre-Dame* z kamienia rzniętego, ma 466 stóp wysokości, do ostatniéj galeryi prowadzi wschodów 622. Płaszczyzny jéj przerywane są ozdoby zębiastemi, i od piętra do piętra się zwęża z galeryami jedna nad drugą. Zaczętą była w roku 1422 według planu i rysunku budowniczego *Amelius*, a ukończoną zupełnie roku 1518. Druga część do pierwszéj tylko galeryi wykończoną została. W roku 1540 umieszczono na niéj zegar grający, złożony z 60 dzwonów.

Wewnętrze kościoła zdobią wspaniałe obrazy Rubensa, których część znaczna przenie-

sioną była do Paryża za Cesarstwa. Pod czas ostatniego oblężenia cytadelli, zabespieczono ją przeciw bombom i granatom za pomocą pokrycia zrobionego w kształcie pomostu.

Na dole wieży wyryty jest nagrobek na pamiątkę malarza *Quintus Matsys*, który był wprzódy kowalem. Do studni, którą widać na lewo kościoła, on zrobił zamek młotkiem bez piłowania. Mówią iż kochał córkę malarza, który tylko artystę chciał mieć za zięcia, miłość nauczyła go malarstwa, i pozwolenie ojca otrzymał.

Miasto Antwerpia ma kształt łuku naciągnionego, ma bardzo piękne ulice i place publiczne.

Antwerpia wydała wielu znakomitych ludzi, w niéj rodzili się malarze: Denis Calvaert, Albano Dominiquin, Kasper Crayer, Rubens, Vandyck, Jordanes, obadwaj Tenierowie, Ommegank; rytownicy Edelink; Geograf Ortelius; historycy Grammaye, Butkers, Sanderus, Von Meteren; Drukarz Moretus, prawnik Stockman, etc.

To miasto któremu niegdyś sztuka i handel szczególniéj w XVItym wieku tyle dodawały blasku i bogactw, więcéj nad wszystkie inne było ofiarą różnych kolei polityki europejskiéj. Po kilka już razy należało do Francyi, gdy w roku 1792 poddało się tejże, Austrya odebrała go w roku 1793, a Francuzi na powrót w roku 1794, nakoniec Francuzi ustąpili z niego roku 1814, w skutku traktatów zawartych w Paryżu, w którym to czasie Carnot dowódzcą był twierdzy.

W roku 1828, autor podróży do królestw Niderlandskich, daje następujące szczegóły o cytadelli antwerpskiéj.

Sześć bastionów dobrze uzbrojonych, podminowanych, otaczają szerokie i głębokie fossy. Ona służyła za wzór wszystkim cytadellom późniéjszym, wejście do niéj jest tylko przez jednę bramę; wewnątrz jest piętnaście studzien, plac broni, kościoł, i wzgórki dające widok na pole. W cytadelli pod rządem francuzkim było więzienie.

O WĘDRÓWCE PTAKÓW.

Ptaki mają pewne siedliska, w których najpiękniéjszy czas życia spędzają, dzieci wychowują, i ludzi śpiewaniem weselą. Ale wnet cała rodzina rusza się razem; rodzice i dzieci rzucają miejsce rodzinne i spieszą do obcych krajów. Wszystkie ptaki, te tylko wyjąwszy, które przez długi byt w mieście nałogi swoje zmieniły, doznają w wyższym lub niższym stopniu téj żądzy zwiedzenia świata. Ta wrodzona skłonność obudza się nagle i bez namysłu; prawie ze wszystkich ptaków jednego rodzaju dziś widzianych, trudno nazajutrz jednego zobaczyć. W schwytanych widać o téjże porze nagłą niespokojność. Często w klatkach osiadają zwyczajnie swe grządki, i nagle porywają się ze snu, trzepocą i uderzają pełne trwogi i niepokoju. Stan podobny trwa czasem dni kilka, niektóre dręczą się we dnie, większa część w nocy, inne w obudwu porach. W przeciąganiu przez pola zatrzymują się dla żeru, ale rzadko zasną wprzód, nim dolecą do miéjsca przeznaczonego. Pospolicie bardzo lecą wysoko, tak, że częściéj je słychać, niżeli widać; lot ich zawsze jest przeciw wiatrowi.

Celem ich wędrówek jest żywność. Północne okolice ziemi były oddawna siedliskiem niezliczonych milionów ptaków wodnych, gdzie rozległe bagniste stepy wiecznym śniegiem okryte, jedynie tylko ich smutném i przeraźliwém kraczeniem echa budziły. Tam bezpiecznie wychowują swe dzieci, i dopóki trwa lato, nie zbywa im nigdy na żywności w niezmierném mnóstwie insektów. Ale skoro ożywiające słońce się cofnie, a wiatry mroźne i ciężkie mgły rozpościerać się zaczną, wtedy czują posłańców zimowych śmierci, wrodzony instynkt zapowiada im niedostatek, pokazuje im inne kraje obfite, i skłania do wędrówki. Dziwny to widok, jak pod wodzą Stworzyciela niezliczone tłumy ciągną w powietrzu; jak każdy rodzaj pod sprawą swego przewodnika najporządniéj prowadzony, z niepojętą szybkością o dwadzieścia mil na godzinę ku południu się posuwa.

Godne są jeszcze uwagi ich:

a. Jlość.
b. Szybkość.
c. Figury jakie w locie wykreślają.

1. Ptaki ciągną w stadach większych lub mniéjszych według rodzaju, ale zawsze w wielkiéj liczbie. Żeglarz płynąc do Australii, widział stado przelatujących ptaków, które od 150 do 240 stóp było wysokie, szerokości miało nad stóp 900, a cały ciąg lecący szybkością gołębia, trwał dobre pułtory godziny. Przyjąwszy więc, że ta kolumna 130 stóp gruba, i 900 stóp szeroka, w godzinie sześć mil się posuwa, zostawując dla każdego ptaka 9 cali kubicznych odstępu, wypadnie iżby liczba tychże wynosiła 151,500,000.

2. Aby przez morze ciągnąć potrzeba ptakom nadzwyczajnéj szybkości, inaczéj zginęłyby z omdlenia i głodu, że taką aż nadto są obdarzone, okażą następujące dostrzeżenia.

Jaskułka leci w przecięciu sto mil w godzinę, i ma dość czasu żywić się, budować gniazdo i t. d. Orzeł złoty ulatuje 8 mil w godzinę.

W roku 1830 przywieziono 110 gołębi z Bruxelli do Londynu, a ztamtąd 19 Lipca tegoż roku puszczono na powrót; jeden przyleciał do Antwerpii (186 mil angielskich) z Londynu o godzinie 2giéj minucie 18téj popołudniu, czyli w przeciągu $5\frac{1}{2}$ godziny; pięć przybyło tamże późniéj o 8 minut, 13 innych potrzebowało 8 godzin do drogi. Jnny gołąb

przyleciał z Londynu do Mastrichtu (260 mil angielskich w $6\frac{1}{4}$ godzinach.

3. Ptaki w wędrówce swojéj formują pewną figurę odpowiednią ich postaci, mocy, przeznaczeniu, lotowi it.d. Najgodniéjszą uwagi jest figura dzikich gęsi; ich lot wysoki i porządny jest klinowaty, w którym każdy ptak przecina powietrze z mniéjszem natężeniem; a zmianę figur V. A. L. albo prostych linii, sprawia przewodnik, który z osłabienia opuszcza swe miejsce naczelne, w szereg się wciska i dowództwo innemu zostawia.

W dniu pogodnym kos i skowronek wczasie ciągnienia swojego, tkliwe pieśni śpiewają.

HERBATA.

Ileż niepisano przeciw herbacie! Jednakże herbata zmusiła do milczenia swych przeciwników, a wielbiciele przygotowali jéj zwolna tryumf we wszystkich salonach, i żadne zgromadzenie nie obejdzie się bez niéj. Herbata roślina cudowna, wszędzie upowszechnia swoje zwycięztwa.



Wyliczać tu jéj własności i przymioty, byłoby to rzeczą zbyteczną. Dosyć tymczasem powiedzieć, że w roku 1666, 30 Lipca, kompanija Indyjska w Angli wspomina w księgach swoich, że sprowadziła 22 funtów i puł herbaty, za 36 funtów szterlingów, a to na podarunek dla króla; że w roku 1674, kupiła jéj 55 funtów na podarunki, i że dziś Anglia sama zużywa herbaty więcéj jak za 30 milionów franków.

Podług barona de Zach, sławny ekonomista Angielski Adam Smith rachował w czasie gdy jéj niepotrzebowano więcéj jak za 25 milionów franków, ileby potrzeba krów do zastąpienia herbaty mlekiem, i podług niego potrzebaby krów 500,000.

We Francyi używanie herbaty upowszechniło się szczególniéj między klassą średnią od r. 1814. Do tego czasu używaną była tylko w salonach wyższego tonu, wyjąwszy pewne miasta jak np. Bordeaux, gdzie obyczaje bardzo się zbliżają do angielskich i holenderskich.

W Holandyi wychodzi nadzwyczajna ilość herbaty, i w tym kraju najpierwéj zaczęto jéj używać. Niektórzy moraliści, mówi jeszcze baron de Zach, utrzymywali, że używanie herbaty jest w tym kraju przyczyną bez pośrednią wypukłości policzków, co zowią *patapoufs*. Damy przyrządzające ten napój, stoją zawsze przed samowarami, które nadzwyczaj są czyste i błyszczące jak zwierciadła, tym sposobem, przez kształt tych naczyń, ich twarze ciągle są dla oka zdeformowane, a wrażenie jakie widok tych przekształconych twarzy sprawuje, mają być przyczyną wypukłych twarzy ich dzieci.

Nie polegając w zupełności na tém wytłumaczeniu pucołowatości twarzy holenderskich, możnaby bez żartu uczynić zapytanie, jaki wpływ wzajemny wywiera na stan fizyczny ludzi, różnych obcych płodów zamiana?

Któż potrafi wyśledzić te tajemice i wykazać powolny i ukryty związek pokarmów i napojów o tysiące mil z miejsc swoich sprowadzanych?

Kiedy nasze wino, sukno i książki dosięgają dzikich aż na granicy cywilizacyi, my zażywamy tabakę Wirginii, słodzimy nasze potrawy cukrem z Antillów, wzmacniamy je korzeniami z Moluk, i pijemy kawę arabską, i wysączamy szklanki wody naciągnionéj cząstkami herbaty. Używając tak rozmaitych przedmiotów, nie od rzeczyby było wspomnieć czasem na miejsca, z których do nas przychodzą; na ludzi dalekich, którzy je przyrządzają, na sposoby i drogi któremi się na nasz stół dostały. Taka rozmowa mogłaby mieć wiele rzeczy ciekawych i dowcipnych.

Kwiat herbaty jest biały, i podobny cokolwiek do zwyczajnéj polnéj róży. Liście zbierają kilka razy do roku, pospolicie trzy razy. Zbiór pierwszy ma szczególniéj zapach miły i aromatyczny. W Chinach dobroć herbaty, tak jak wina we Francyi, dzieli się według różnych prowincyi.

Najistotniéjszą rzeczą w sporządzeniu jéj liści jest, toczyć je gdy wyschną, na blachach gorących żelaznych. Ta robota bolesną jest bardzo dla biednych pracowników, którzy parzą sobie ręce od gorących liści.

Swieżéj herbacie przypisują Chińczykowie własność narkotyczną, i dla tego niepuszczają ją do użycia, aż dopiero w rok po zbiorze. Herbata sprowadzona lądem, którą zowią *Karawanową*, ma być lepszą od przychodzącej morzem.

Właściwie dwa tylko są gatunki herbaty: zielona i czarna, które mają znowu pomniéjsze różnice. Nie wchodząc w ich nazwy, powimy tylko że herbata zielona mocniéj działa na słabe nerwy, niżeli czarna. Dla zdrowia i dla smaku najlepsza jest mieszana z obudwu gatunków, stosownie do temperamentu osób. Niektórzy mniemali, że zielona dla tego ma ten kolor, że była suszoną i przetaczaną na blachach miedzianych, ale to zdanie które mogłoby zaszkodzić wziętości herbaty zielonéj, zupełnie jest fałszywe; rozbiory najściślejsze, nie odkryły w niéj żadnéj cząstki miedzi.



Kupcy Europejscy prowadzący handel herbatą chińską udają się do *biegłych* tego narodu, którzy różne własności listków rozpoznawać umieją przez kolor wody na herbatę nalanéj.

Kapitan Blanchard w dziele swoiém *Manuel du commerce de la Chine* przytacza z tego powodu następujące ciekawe zdarzenie.

«Chciałem się przekonać o biegłości mojego znawcy. Nalaliśmy razem wody wrzącéj na cztery rozmaite gatunki herbaty, które mi się jednako dobre być zdały, a z których każdy miał numer odpowiedni naczyniu nalewanemu. Zamieniłem więc numer i podłożyłem mu inny. Mój *biegły* odwiedził mię nazajutrz. Zwróciłem jego uwagę, że się myli w zdaniu o herbacie w jedném z naczyń, gdyż numer który mu pokazałem, co innego oznacza. Ta uwaga zastanowiła go mocno; zrobił na nowo doświadczenie, i powiedział żem się omylił w położeniu numerów, dodając z pewnością: «Ta woda należy do tego (który był prawdziwym) a nie do tego znaku.»

Ztąd widać delikatność smaku Chińczyków, zasmucającą naszych znawców. Chińczykowie zwracają uwagę na najdrobniéjsze szczegóły w swoich napojach; mają swoich professorów uczących sztuki nalewania herbaty, nawet pod względem gracyi. I unas zręczność w nalewaniu herbaty, jest niejaką sztuką, należącą do wychowania panien. Jednakże pod tym względem, Europa dalekąjestjeszcze od Chińczyków.

WĘŻE ZACZAROWANE.

Jest to dawne starożytnych ludów Azyi mniemanie, że pewne zaklęcia mają moc uczynić węże nieszkodliwémi, a nawet posłusznemi rozkazom czarownika. Czynią o niém wzmiankę niektóre miejsca Biblii, *np.* w psalmie 57mym, gdzie grześnicy przyrównani są do wężów.

Jako gadzina na ludzi się juszy,
Jako padalec zatyka swe uszy,
Czarodziéjskiemu głosowi się wzbrania,
I nie chce słuchać mocnych zaklinania.

PSALMY KARPIŃSKIEGO.

To dowodzi że powyższe mniemanie, upowszechnione było wszędzie, nawet pomiędzy Izraelitami. Ponieważ w Azyi wszelki postęp i odmiany niezmiernie idą powoli, nie dziw więc, że i podróżni dzisiéjsi znajdują też same zabobony na wschodzie. Według doktora *Shaw* mniemanie to rozciąga się aż za kraje Azyi. Pewne pieśni, słowa, maxymy pisane na zwitkach papieru, kombinacye pewnych liczb odbierają temu gadowi jad, zęby i wszystkie środki zaczepki i obrony. W Indyach pewna klassa kuglarzów, korzystając z łatwowierności ludu, wystawia na widowisko węże bardzo jadowite, któremi dowolnie władają; ich węże odbywają nawet pewien rodzaj tańca przy dźwięku muzyki: odmawiając tym czarodziejom wszystkich owych tajemnic, któremi się szczycą, niektórzy europejczycy przyznają im sposób wywabiania z kryjówek wężów zwanych *cobra di Capello*, które są najstraszniéjsze w tych stronach. Ci ludzie potrzebują zapewne umiejętności do nabycia w wielkiéj liczbie do swoich widowisk tych płazów i do uchwycenia ich bez niebezpieczeństwa; ale do tego dostateczną jest zręczność i nie potrzeba im czarodziéjstwa. Gdy węża schwycą, wyrywają mu najprzód dwa zęby jadowite, i pozbawiają go możności szkodliwego ukąszenia. Zdaje się iż w Indyach posunięto do wysokiego stopnia sztukę pojętności tych płazów, i aby ich uczynić bacznemi: nauczają ich kryć się w szparę, za sprzęty, tak że tego widz nie spotrzeże, bo do talentu nauczania posłuszeństwa wężów łączą wielką subtelność i zręczność mamienia; na dźwięk instrumentu podobnego do multanek irlandskich, płaz występuje z kryjówki i pokazuje swe sztuki. Kuglarz wtym razie ogłasza, iż uwolnił mieszkanie od gościa okropnego, i to mu wszyscy łatwowierni przyznają. Europejczykowie: mniéj ufni, chcieli dociec téj tajemnicy; wzięli niektóre z tych wężów przez muzykę zwabionych i zabiwszy je, dokładnie rozbierali, pokazało się, iż wszystkie pozbawione były zębów jadowitych.

Chociaż więc nic niema nadprzyrodzonego w tych wężach tańczących przy dźwięku raczéj smutnéj i jednotonnéj, niżeli wesołéj muzyki, dziwić się jednak należy zręczności ludzi, którzy potrafili wyuczyć je czynić poruszenia według taktu i symetryi. Ci kuglarze należą do najniższéj klassy Jndyan, i znaczenie którym się szczycą, wcale nie zmniéjsza ich poniżenia. Ich sztuka bywa niebezpieczną, nie tyle dla nich, ile dla widzów. P. *Jonson*, któremu winniśmy opis zabaw Jndyjskich, opowiada, że na takowém widowisku, które mnóstwo publiczności ściągnęło, jeden młodzieniec nie roztropny, drażnił węża chcąc doświadczyć, czy go ukąsi? gad który był *cobra di capello*, w smutny sposób uczynił zadość jego ciekawości, i młodzieniec w godzinę skonał. Wąż zabójca, uległ natychmiast rozpoznaniu, z którego okazało się, że kły jego na nowo puszczać zaczęły, a chociaż jeszcze nie występowały za szczękę, mogły do



(Węże Zaczarowane.)

sięgnąć ręki która je dotknęła. Ojciec ofiary zapewniał, że podobnego zdarzenia pierwszy raz był świadkiem, i że o niém nigdy nie słyszał. Wiadomo jest jednak w Indyach, że zęby wężów jadowitych wyrwane odrastają, a to nawet w kilka miesięcy, i że im zawsze odrastać mogą.

Pełno jest podobnych podań o wężach w Polszcze, także i na Litwie i w Prusiech, i o czarownikach umiejących je zaklinać. Szanowano węże po domach i miano je za nieśmiertelne, zapewne z powodu iż się ich skóra co rok odmładza. Kto takiego domowego gościa mieć pragnął, prosił o to kapłana Wajdelota, przynosił węża w zanadrzu, zastawiono stół i podczas szeptania Wajdeloty, wąż krążył po stole. Gdy koło zakreślił, wąż wyuczony udał natychmiast nieżyjącego, póki go kapłan piwem z poświęconéj czary nie skropił. Wtedy wąż się ruszył posłuszny na rozkaz, jął się potraw, począł zsunął się na ziemię, a kąt który sobie obrał, był mu na mieszkanie poświęcony.

WIELKIE TRZĘSIENIE ZIEMI W LISBONIE

(według opisu naocznego świadka Anglika.)

Dzień 1 Listopada 1755 roku był bardzo pogodny. Niebo czyste i jasne nie zapowiadało najmniéjszym znakiem wypadku, który tak ludne i bogate miasto wkrótce miał uczynić widowiskiem najokropniéjszego zniszczenia.

Między 9tą i 10 godziną pięknego rana, siedział nasz świadek przy stoliku i właśnie list kończył, gdy przed nim papier i stolik ruszać się poczęły, mimo że żadnego wiatru ani przeciągu nie było. Gdy się właśnie nad przyczyną tego zamyślił, wstrząsł się dom cały od góry do dołu. I teraz jeszcze nie przyszło mu na myśl niebezpieczeństwo, bo właśnie kilka pojazdów śpieszyło razem na dziedziniec królewskiego pałacu, które mogły być wstrząśnienia przyczyną. Wnet z pod ziemi słychać było grzmot, jakby dalekiéj burzy. Tu już przyszedł na myśl, że to wszystko są zapowiednie trzęsienia ziemi. W Maderze były podobne przed sześcią laty, chociaż żadnéj niezrządziły szkody.

Teraz rzucił pióro, i powstał niewiedząc, czy ma w domu pozostać, czy wyjść na ulicę? niebezpieczeństwo było równe, a nadzieja wmawiała że się wszystko tak jak w Maderze zakończy; ale wnet wszelka wątpliwość zniknęła. Usłyszał okropny łoskot, jakby się wszystkie domy zwaliły. Nawet mieszkanie jego tak się zatrzęsło, że najwyższe piętra natychmiast się zapadły, a pokoje jego tak się chwiały, że wszystkie sprzęty runęły, i jemu

trudno było dostać na nogach. Co chwila obawiał się śmierci, bo mury się trzęsły i w wielu miejscach pękały, a na wierzchu domu, już tylko były belki bez dachu. W tymże czasie zaciemniło się niebo dotąd tak jasne, i żadnego przedmiotu nie można było rozpoznać. Było to skutkiem albo niezmiernego kurzu z obalonych pałaców i domów, albo mnóstwa wyziewów siarczanych dobywających się z ziemi. Opowiadający nie śmie tego rozstrzygnąć; jemu samemu na dziesięć minut oddech zatamowało.

Nakoniec noc rozwidniła się znowu, mocne wstrząśnienia ustały, Anglik odzyskał nieco przytomność; pojrzał około siebie, a pierwszym widokiem jego była kobiéta z dzieckiem na ziemi siedząca, blada, okurzona i drząca jak liść osiki. Pytał jéj jak się tu dostała, ale zalękniona odpowiedzieć nie mogła. Zapewne przestraszona wybiegła z domu, a gdy się wszystko waliło, uciekła do otwartego domu Anglika. Nie było tu czasu do pytań i odpowiedzi. Biedna kobieta jak to sobie późniéj przypomniał, zapytała go z przerażeniem: Czy to nie koniec świata? i skarżyła się iż niema oddechu, prosząc o trochę wody, Anglik poszedł do drugiego pokoju, gdzie w dużém naczyniu miał wodę, co rzadko się zdarza w Lisbonie, ale naczynie było pęknięte: powiedział więc nieszczęśliwéj, że nieczas myśleć teraz o zaspokojeniu pragnienia, ale trzeba życie ratować; że jeżeli drugie wstrząśnienie nastąpi, dom się zupełnie zawali, i oboje zagrzebie; kazał jéj się oprzeć o swoje ramie, chcąc ją zaprowadzić na miejsce bezpieczne.

Anglik winien był życie małemu przypadkowi któregoby rozum ludzki nie mógł nigdy przewidzieć, wczasie wstrząśnienia nie był *ubrany*, ztąd wahanie się, czy wyjść z domu, czy zostać? Mając na sobie suknię, byłby zapewne wybiegł na ulicę i zginął pod rumowiskiem. Podobnie wszyscy spółmieszkańcy jego zginęli. Tymczasem jakkolwiek chwila była nagląca, nie śmiał wyjść na ulicę w pantoflach i szlafroku. Pochwycił co prędzéj obuwie i surdut i prowadząc kobietę, wyszedł na ulicę ku rzece Tagu. Ulica cała zasypana była gruzami, które miejscami aż do drugiego piętra sięgały. Gdy tu przejść nie mógł, szukał innéj drogi, wśród wielu niebezpieczeństw. Przeprowadził najprzód kobietę przez wielki nawał rumowisk, potém ją puścił na chwilę, aby rękami i nogami przez inne gruzy drogę wynaleść, i ledwo parę kroków uczynił, gdy wielka massa kamieni z góry na nią i na dziecię opadła, i oboje w jednéj chwili zgruchotała. Ta okropność byłaby go w innéma położeniu całego zajęła, byłby i omdlał, ale teraz obawa podobnegoż losu była silniéjszą, a nawet takowe sceny powtarzały się na ulicy przed nim i za nim.

Naszemu Anglikowi wypadło przebyć długą, wązką ulicę, mającą domy o cztérech i pięciu piętrach. Wiele z nich waliło się, albo już w gruzach leżało, między któremi umarli, konający i ranni wszędzie leżeli. Tak widząc niepodobieństwo uniknienia śmierci, pragnął tylko aby zginął odrazu. Jednakże spieszył ile możności, i przebył szczęśliwie tę drogę okropną. Dostał się na otwarty cmentarz S. Pawła, i widział niezmierne gruzy tego kościoła. Przed kilku minutami był ten kościoł arcydziełem budowy ozdobionym przez malarstwo i rzeźbę. Teraz z niego zwalisko, pod którem jęczą i charczą konający, co dopiero przed ołtarzem klęcząc zgruchotani zostali. Ledwo tu nasz świadek cokolwiek z przerażenia ochłonął, puścił się po gruzach do brzegu rzeki, aby ile możności być dalekim od domów, na przypadek nowego wstrząśnienia. Przybył szczęśliwie i znalazł mnóstwo ludzi płci obojéj, wszelkich stanów, księży w ubiorach kościelnych, wszystkich twarze zbladłe z przestrachu, tysiące ludzi klęczały boskiéj litości wzywając. Między duchownymi odznaczył się szczególniéj jeden szanowny starzec. Przechodził się między klęczącemi gromady, pocieszał, wzywał do żalu za grzechy, gdy wszyscy do jego się kolan cisnęli, pragnąc rękę, lub szatę jego całować. Nasz Anglik równie ukląkł, i modlił się jak nigdy, z katolikami. Wśród tych scen nastąpiło obawiane drugie wstrząśnienie ziemi niemniéj gwałtowne, które do reszty rozsypało zrujnowane już domy. Zewsząd dał się słyszeć odgłos: *Misericordia meo Déos*! (zlituj się Boże!) to samo słychać było z góry S. Katarzyny gdzie także tysiące ludu uciekły. To wstrząśnienie tak było gwałtowne, iż trudno było utrzymać się na nogach. Lecz razem zagroziło drugie niebezpieczeństwo. Morze wzburzyło się aż do dna. „Morze występuje! zginęliśmy! „wołano zewsząd. W istocie; ledwo Anglik zwrócił oko ku ujściu rzeki, gdy ujrzał gwałtownie napiętrzoną, chociaż żadnego wiatru nie było. Rycząc i spieniony posuwał się ten żywioł straszliwy, przed którym wszystko krzycząc uciekało, a który wielu pochłonął, inni z wielką trudnością ratować się zdołali. Anglika to tylko ocaliło, iż znalazł kłodę leżącą, do któréj się mocno przyczepił, aż powódź, co właśnie bardzo prędko się stało, w swoje się łoże cofnęła.

W każdym razie, woda równie groziła niebezpieczeństwem, jak walenie się domów, dla tego postanowił nasz Anglik spieszyć na plac S. Pawła, którego wzniesienie było od powodzi obroną. Tu był świadkiem okropnego widoku. Na morzu jak daleko oko dosięgało, widać było okręty na wszystkie strony, jakby w największéj burzy miotane. Niektóre obracały się w miejscu, jakoby wirem zachwycone; nagle cała wielka ulica nadbrzeżna oberwała się, a z nią mnóstwo ludzi, którzy się tamże bezpiecznemi sądzili. W jednymże czasie wszystkie statki tamże do

brzegu przybyłe, a na których wielu schronienia szukało, pastwą morza się stały. Jeden kapitan okrętowy który się wtedy cudem wyratował, opowiadał iż z morza, pod czas drugiego wstrząśnienia, widział całe to wielkie miasto, tu i owdzie się kołyszące. Z nadbrzeża żaden ślad nie pozostał, i wody na niém trudno było zgruntować.

W krótce nastąpiło trzecie wstrząśnienie, ale mniéj mocne. Morze wylało znowu, lecz się jeszcze śpieszniéj cofnęło, wiele okrętów na lądzie osiadło. Rzeka powtarzała swoje wzbieranie. Lisbonie ten sam los groził, jaki zniszczył Limę w roku 1746. Położona niżéj u brzegu pewno byłaby zalaną. Jak daleko trzęsienie ziemi na morze się rozciągało, ztąd można pojąć, że jeden kapitan okrętowy 20 mil od brzegu oddalony, uczuł wstrząśnienie, i mniemał że z okrętem trafił na skałę. Nie pojmował tego zdarzenia, aż dopiero gdy pojrzał ku Tagowi. Jeźdcy, którzy wtenczas byli na brzegu, w największym tylko galopie mogli się dostać na wzgórze od wody zabezpieczające.

Zagrożony od morza, niepewny na placu S. Pawła, gdzie się domy waliły, udał się nasz donosiciel do mennicy, któréj mocna budowa najlepszą obiecywała uchronę. Ztąd cała straż uciekła, wyjąwszy jednego oficera i młodzieńca stojącego pod bramą. Ziemia trzęsła się ciągle; w oddaleniu chwiały się domy, Tag wylał na dziedziniec, oficer oddalił się z Anglikiem, na stos gruzów. Anglik nie mógł się wydziwić odwadze i wytrwaniu młodzieńca, który sam jeden opierał się żywiołom, jak równie i największym zbrodniarzom. Był tam skarb kilku milionów, którego ocalenie jemu tylko miasto było powinne. Blizko pięć godzin został przy Angliku, potém opuścił go osłabiony pragnieniem, gorącem i trwogą całodzienną, stroskany przytém o przyjaciela daleko w mieście mieszkającego, którego chciał znaleść.

Przez tysiące ruin, przez gruzy klasztoru, które mnichow pobożnych grobem się stały, przez ruiny różnych gmachów i królewskiego pałacu, szedł daléj. Na placu ostatniego postrzegł równie ciekawy jak smutny widok. Stały tam konie, muły, pojazdy i wozy wszelkiego rodzaju. Właśnie zaczynała się wielka msza w królewskiéj kaplicy gdy się ziemia zatrzęsła. Bogactwa kościoła niczyjéj nie zwróciły uwagi, które teraz każdemu stały otworem; nikt z panów nie szukał swego pojazdu. Tak biedne konie stały głodne i rozprzężone, albo skaleczone leżały.

Z trudnością tysiące smutnych widoków mijając, postępował daléj nasz Anglik. Nikt nie opłakiwał w koło leżących trupów i rannych, między któremi trudno było postępować. Widać było pojazdy zgruchotane, razem z końmi, woźnicą i panami. Tam leżały matki z dziećmi na ręku. Bogato ubrane damy, mężczyzni mnichy, księża, rzemieślnicy, wszystko to umarłe lub konające razem zmieszane było. Ten ma nogi strzaskane, temu kawał muru piersi przygniata. Wielu woła o pomoc, o wodę, nie masz ktoby ratował. Anglik nie znalazł nawet śladu mieszkania przyjaciela swojego. Poszedł przez miasto do jednéj kawiarni, przez jego współziomka utrzymywanéj, pragnąc się jakokolwiek posilić i opatrzyć. Ale nie tu był koniec okropności 1go Listopada. Gdy wieczór nastał, całe miasto zdało się być morzem ognistém, było tak jasno, że na ulicy można było list czytać. Najmniéj w stu miejscach wybuchły płomienie, które przez sześć dni gorzały, a których żadna ludzka ręka nie odważyła się gasić. One zniszczyły to, czego ziemia nie pochłonęła. Tysiące ludzi osłupionych patrzało na nię, gdy kobiety i dzieci z przerażeniem, wszystkich świętych wzywały. Ziemia drzała ciągle, mniéj lub więcéj, często przez cały kwadrans.

Dzień pierwszy Listopada jest uroczystością Wszystkich Swiętych, obchodzoną szczególniéj w Portugalii. Wtedy każda kaplica i każdy ołtarz błyszczy od świec i lamp, które po wstrząśnieniu zajęły wszystko, co było drewniane. Po domach wszędzie były rozpalone ognie na kominach i w piecach; które opuszczone, wzniecały pożary. Ale i niegodziwość ludzka wiele się do tego przyczyniła. Uwolnieni więźnie w powszechném nieszczęściu, zaczęli nowe zbrodnie popełniać. Podrzucali ognie pod domy jeszcze ocalone, aby swobodniéj mogli rabować, chociaż żadnéj przeszkody nie mieli, gdy przez kilka dni, nikt nieśmiał zajrzyć do gruzów swojéj własności. Szczególniéj tym sposobem zgorzał pałac królewski.

Zwolna powracała spokojność, iż można było wywiedzieć się o losie domów, przyjaciół i krewnych. Domy najmocniéjsze najprzód się zapadły, więcéj jak sześć tysięcy ludzi utraciło życie, mnóstwo rodzin pozbawionych zostało wszystkiego. Do tych ostatnich i nasz Anglik należał. Nie mógł poznać miejsca gdzie mieszkał, przytém wyziewy trupów z pod gruzów niewydobytych, tak zarażały powietrze, że raz omdlawszy, nie śmiał czynić dalszych poszukiwań.

COOK.

James Cook należy do najsławniéjszych żeglarzów; imię jego znane jest we wszystkich częściach świata, dotąd służy za wzór wszystkim tego rodzaju przedsięwzięciom. Dziś podróż na około świata nie podlega wielkim niebezpieczeństwom, każdy jednak raz ją odbywszy na tém przestaje; Cook odbył ich trzy; raz po raz w przeciągu lat jedenastu, i sam jeden rozwiązał trzy największe zadania, które owczesnych geografów zajmowały.



(Cook.)

James Cook urodził się we wsi Martoe w York-shire r. 1728 z ubogich wieśniaków, którzy ledwo byli w stanie nauczyć go czytać i pisać, w 13 roku oddany był do kramarza za chłopca w mieście nadmorskiém, *Snaith*. Tu miał sposobność poznać i polubić żeglarstwo i naglony niepozbędną żądzą, wszedł nakoniec w służbę przy węglowym okręcie. W tém nędzném i mozolném powołaniu, zostawał aż do wojny r. 1755, w którym to czasie przyjął służbę prostego majtka na okręcie królewskim. Tu miał sposobność rozwinąć wielkie swoje talenta, i po czterech latach, mianowanym został dowódcą okrętu *Merkury* w wyprawie ówczesnéj. W téj i podobnych innych wyprawach, tyle dał dowodów nadzwykłéj zręczności i odwagi, że wkrótce był najznakomitszym oficerem morskim swojego czasu. Gdy rząd angielski w roku 1768 przedsięwziął wysłać na jedną z wysp wielkiego Oceanu okręt *Endeavour* w celu uważania przejścia planety Wenusa przez tarczę Słońca, jemu zlecono dowództwo tegoż okrętu. To polecenie wykonał Cook z nadzwyczajną sprawnością i w roku 1771, z planem bardzo ważnych odkryć i doświadczeń do ojczyzny powrócił. Rząd i publiczność równie na niego oczy zwróciły, na pamięć jego, cieśnina między obudwoma wyspami, z których według jego obserwacya składa się nowa Zeelandya, nazwaną została cieśniną Cooka; w czasie téjże żeglugi odkrył także wyspy, które nazwał ziemią Sandwich.

W roku 1772. poruczono mu znowu podróż do tychże stron z dwoma okrętami, w celu rozstrzygnienia dawnego sporu geograficznego. Wtéj podróży, przybrawszy sobie zdatnych dwóch towarzyszów Forstera ojca i syna, trzy lata strawił, i ważne co do znajomości ziemi i ludzi poczynił odkrycia. Zyskawszy coraz głośniejsze imię, odbył trzecią podróż około świata spólnie z kapitanem Klarke, a to w celu wynalezienia drogi z Południowego do Atlantyckiego morza, oraz jak największego zbliżenia się do bieguna. Za rozwiązanie takowego zadania, rząd angielski wyznaczył 25,000 funtów szterlingów nagrody. W téj podróży odkrył Cook cieśninę morską między Ameryką i Azyą zkąd wielo-krotnie lecz na próżno daléj dotrzeć usiłował. Nakoniec dnia 14 Lutego 1779 od dzikiego ludu na wyspie Owaihi zamordowanym został, gdzie przy pierwszém wylądowaniu, gościnnie był przyjęty. Żył lat 51. Mimo, iż był surowym, przykrym w obejściu, kochali go wszyscy z któremi był w stosunkach, a nawet sprawiedliwy zarzut chciwości, nie zaćmi sławy, jaką mu zjednała najwyższa odwaga, przytomność umysłu i obszerna wiadomość; szczególniej zaś liczne i ważne odkrycia w geografii tudzież astronomii. W żeglugach swoich zrobił Cook około 40,000 mil.

GODZIWIE, UCZCIWIE.

Godziwie postępując, nie czynimy nic złego, *uczciwie* czynimy dobrze. *Godziwy* zysk nieobraża nikogo. *uczciwy* zjedna szacunek naszéj staranności. W pierwszym razie nie obrażamy prawa, w drugim szanujemy przepisy moralności. Ztąd *godziwe* postępowanie zapewnia nam *zgodę* zludźmi, *uczciwe cześć* przynależną, *Nieczyń drugiemu tego, co tobie nie miło*, jest postępować *godziwie*; *czyń tak, jak byś chciał, aby tobie czyniono*, jest to trzymać się zasad *uczciwości*. *Niegodziwy* karany bywa prawami, *nieuczciwy* opinią. *Niegodziwie* można postąpić przez pomyłkę rozumu, *nieuczciwie* przez brak honoru i moralności. *Godziwe* postępowanie każdego człowieka w szczególności stanowi ogólną harmonią, *zgodę i pogodę* życia społecznego.

MYŚLI.

Niech twoje życie będzie proste i słodkie, a umysł niechaj ku niebu się wznosi. Naśladuj skowronka, który nisko na ziemi między kilku zdziebłami żyta, gniazdo zakłada, a z tego skromnego schronienia pieśni śpiewając, ku światła krainom się wznosi.

A. LAFONTAINE.

Często się zdarza że osoba, o któréj w posiedzeniach najgorzéj mówią, najlepszy ma charakter, podobnie najlepszy bywa na drzewie owoc podziubany przez ptaków.

SWIFT.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiej N. 744.